Nr. 17. Lwów, 1 września 1900. Rok XXIII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

JAN GRZEGORZEWSKI.

Na łowach w Transwaalu i Kalaharze.

(Ciąg dalszy).

Obie dzierżawy niebawem nabrały szerszego znaczenia. Dzierżawy Verlandera, — choć nie znał on fryderykowskiej teoryi zaokrąglania, — zaokrąglały się i rozszerzały coraz bardziej, coraz dalej, potworzyły nowe osady i koczowiska. Bastardowie tłumnie zbiegali się od południa ku nowym ogniskom, i dzierżawy urosły w rodzaj państwa niezależnego. Małżeństwa już teraz często zawierały się za błogosławieństwem religijnem; na pół uchrześcianionych zbiegów dzieci rodziły się również często — legalnie, ale nazwa Bastardów pozostała po dawnemu, jeno już teraz przybrała znaczenie biologiczne, etnograficzne, (a następnie niemal narodowościowe) — na oznaczenie nowej rasy w Afryce — ze skrzyżowania białej z brunatną, z małą domieszką czarnej — w drugiem i następnych pokoleniach.

Cztery drogi prowadziły do dzierżaw Verlandera. Jedna od zachodu, od dzierżaw bastardskich Afrikandera, druga przez pustynię Kalaharską ku jezioru Ngani, trzecia ku Boerom Transwaalu, czwarta — najbardziej uczęszczana — od południa, która nasze państwo i rasę wciąż

zasila nowymi wychodźcami, a którą właśnie i my teraz przed samem południem wjeżdżaliśmy do Mieru, rezydenwodza Bastardów:

— Rozwinąć sztandar, uderzyć w kotły a zagrzmieć w trąby! — wołam do idącego naprzód Torellego.

— A jaki sztandar?

— Przecież jesteśmy aryjczykami: słońca i jasności.

Giacomo, wierny nasz sługa i wódz karawany, zeskoczył z konia, wydobył płachtę błękitną z odmalowanym kręgiem słonecznym, który służył za tarczę do strzelania przy ćwiczeniach flintowych dla naszych Beczuanów i Buszmanów; ujął w rękę róg myśliwski, ustawił po obu stronach wozów po jednym z obu Burów (właściwie Irlandczyków, wychowanych od dzieciństwa przez Burów, Beczuanów i Buszmanów) i w środku po jednym Bastardzie; gdy nas zaś dwóch usadowił na wozie, wskoczył na konia, zatknął drzewce z tarczą w strzemię, a zwracając się w stronę frontu, zakomenderował:

— Ognia!

Ośm strzałów zgodnych zapowiedziało wjazd nasz Mieru. Oba wozy nasze i Bastardów wtoczyły się raźnie do osady, po żwirowym jej gruncie, przy miarowych krokach ośmiu muszkieterów i pod takt marszu, jaki na rogu wygrywał Giacomo. Po obu stronach drogi stały bezładnie chałupy, wzniesione z badylów i dylów, powiązane niekiedy blachą taką samą, jaką widzieliśmy w Kimberleyu — z wyrwanych puzder, snać pozostałość to od przybywających tu od południa handlarzy i kupców. Dachy pokryte suchą trawą, z ułożonemi na niej badylami i kamieniami.

Mężczyzni, kobiety i dzieci, wychylały się z chałup, z początku nieśmiało i jakby trwożliwie, ale po chwili z ciekawością, wychodząc na drogę. Zaledwie dojechaliśmy do połowy osady, rozległ się w głębi jej dzwonek, przypominający dźwiękiem sygnaturkę na dzwonnicach kościołków naszych wiejskich, a na odgłos jego zbierać się poczęła tłumnie cała ludność do stojącego niedaleko domu, wynioślejszego po nad inne, o ścianach blaszanych, który właśnie był siedzibą urzędu i zarazem mieszkaniem naczelnika; jego to, jako nieobecnego, wzywał widocznie dzwon, wraz z ludnością, niewiedzącą — co począć z takim fantem, jak przybycie białych cudzoziemców.

Stała ona bezradna, opanowana wszakże wzmagającą się ciekawością, zbliżała się coraz bardziej i otaczała wozy do koła. Mężczyźni byli ubrani w kubraki, niektórzy mieli stare pilśniowe kapelusze na głowach, ale boso, bez spodni, albo odwrotnie — w spodniach, bez kubraka; kobiety w spódnicach, z koszulą na wierzchu, na głowach przepaski lub chusty, ale również boso. Ujrzeliśmy też kilka Buszmanek i dwie czy trzy Hotentotki: jedne i drugie nagie, z przepaskami tylko na biodrach, o silnie i pięknie rozwiniętych kształtach, w przeciwieństwie do pomiętych kobiet bastardzkich. Wśród małego potomstwa sporo było dzieci o jaśniejszej białej, ale były też o białawej z brunatno lub z żółtawo brunatnej cerze, snać bezpośrednio pochodzących od matek buszmańskich i hotentockich.

Niebawem nadbiegł zadyszany i sam Dirk Verlander. Mężczyzna to słuszny, barczysty, przyprószony siwizną, o ile to widzialne było przy skroniach z pod okrywającego głową kapelusza. Ubrany był w szarą kurtkę i szare spodnie, spadające na stare, zapylone kamasze, krótkie wąsy i krótko jakby przystrzyżone faworyty i broda ocieniały małe usta, o grubawych wargach, układających się zawsze do uśmiechu.

Z pod zmrużonych oczu padał wzrok niby filuterny, niby badawczy, na którego dnie błądziła przebiegłość i bystrość. Jednem bystrem wejrzeniem objąwszy nas dokoła, podał rękę na powitanie:

— Dobra droga a lepszy pobyt niech służy tu waszym Dostojnościom.

Choć był dniem przed tem uprzedzony przez posłańca o naszem przybyciu, pokazaliśmy mu jednak list polecający od rządu kolonialnego z Capetownu. Obejrzał się za swoim sekretarzem: nigdzie go nie było. Torelli odczytał mu tedy pismo głośno, gdzie proszono i wzywano o ułatwienie dla nas jako dla ludzi, stojących pod opieką rządów europejskich, a jadących do celów naukowych i literackich. Dla wyjaśnienia zaś tego ustępu dodano, że będziemy zdążali do jeziora Ngami, mierzyli góry i łożyska rzeczne, sluchali co i jak ludzie mówią o drogach handlowych i po drodze będziemy polowali.

Dla Burów, zwlaszcza miejskich, byłoby to zrozumialsze, ale że polecenie pochodziło od Anglików, nie wiele zjednałoby nam ufność. Dla Verlandera przeciwnie, miało ono dla tego samego wielką wagę, ale zamęt mu w głowie sprawiało wyliczenie tych różnych celów, prosił więc, abyśmy poszli do domu jego na posiedzenie wielkiej rady.

— Dobrze — odpowiedziliśmy, — ale wpierw rozbić musimy nasz namiot.

Gdy rozbito namiot o kilkaset kroków w bok od drogi, po za chałupami, Dirk kazał swoim ludziom pomagać w znoszeniu rzeczy i rozpakowywaniu, przyczem bacznie przypatrywał się karabinom naszym magazynowym i rewolwerom, a następnie książkom i szkicom rysunkowym podróżnym Torellego. Uśmiechnął się, pokręcił głową i wyszedł.

W pół godziny przybywa posłaniec z prośbą na posiedzenio Wielkiej Rady. Zostawiwszy Giacoma na straży z ludźmi uzbrojonymi i gotowymi na każdy sygnał, sami we dwóch, z rewolwerami za pasem, idziemy.

Gromada kur, potrącona prętem posłańca, pierzchnęła z wrzaskiem, poprzedzona przez koguta, który, załopotawszy skrzydłami, wzleciał wysoko po nad dach chałupy,

Wnętrze izby niezbyt przestronej, zapełnione było kilkunastu ludźmi, którzy siedzieli na wiązkach skór cielęcych, krowich i sarnich, rzuconych pod ściany. W jednym kącie na łożu, zasłanem skórą szakala, siedział Dirk, puszczając wzrok to w stronę naszą, to na ścianę, gdzie wisiały flinty, to znów na okrytego łachmanami ascetę, który w ręku trzymał księgę zatłuszczoną.

— Chcą nam widocznie zaimponować również arsenałem i biblioteką — szepnął Torelli.

— Jakby chcieli powiedzieć: ed io anche sono conquistatore, i myśmy sroce z pod ogona nie wyleźli — dokończyłem.

— Wiecie co, przyszła mi dobra myśl do głowy... — Lecz w tej chwili, gdyśmy już weszli do izby, asceta, uderzając ręką po książce, następnie zaś wyciągając ją w stronę naszą, a później do rady zgromadzonej, zarecytował słowa psalmisty:

— „Słuchaj, ludu mój... nie będę cię z ofiar twoich winił, ani z całopalenia twego, które są zawsze przedemną"...

Przerwałem mu natychmiast, ciągnąc dalej słowa tegoż psalmu:

— „Nie wezmę z domu twojego chleba, ani z okołu twego kozłów, albowiem mój jest wszelki zwierz leśny i tysiące bydła na górach“...

Obecni spojrzeli ze zdumieniem to na nas, to na ascetę, a Verlander rzecze:

— Snać po to macie taką piękną broń z sobą, aby uganiać się za dzikiemi zwierzętami, — i przymrużył oczy jeszcze bardziej, niż zwykle.

— Oczywiście, nie tylko wszakże po to, ale i na złych ludzi. Tu między wami możemy tak spokojnie złożyć głowy nasze do spoczynku, jak we własnym domu; ale któż nam mógł zaręczyć, że tak samo będzie wśród tych, z którymi walki staczacie, w Korannie i dalej na północ? Mogą nas nie zrozumieć, i w przypuszczeniu, żeśmy ich napastnikami, targnąć się na nas, a wówczas zrozumieją moc straszną karabinów naszych, boś sam widział, wodzu, że z takim jednym karabinem możesz pięćdziesięciu napastnikom stawić czoło. Użyjemy wszakże tego morderczego narzędzia śmierci tylko zmuszeni do tego, we własnej obronie, bo naszą bronią właściwie nie jest ogień śmierci, lecz słowo życia, słowo miłości i słusznych praw dla wszystkich ludzi.

— Czy Wy jesteście może kaznodziejami i ofiarnikami, jak nasz? — odezwał się jeden z rady, wskazując ascetę.

— Nie, — tłumaczÁł Torelli, — ale ty sam, wodzu, widziałeś u nas księgi, Owoż my właśnie takie księgi piszemy i drukujemy. Są tam wiadomości o krajach, ludziach, zwierzętach, roślinach. By zaś o tem wszystkiem napisać dla innych, którzy tego nigdy może widzieć nie będą, trzeba samemu to obaczyć i poznać. I oto dla tego jedziemy aż do jeziora Ngami i dalej.

Wyjaśnienie to widocznie w znacznej mierze zadowoliło obecnych, zwłaszcza gdy asceta przemówił:

— To są książęta słowa, żyć muszą w chwale i spokoju.

A Verlander skwapliwie podchwycił:

— Myśmy Dostojności Wasze tu zaprosili, aby Was godnie powitać i uczcić.

Gdy znaczna część rady się rozeszła, żona wodza, wraz ze służebnemi Buszmankami, poczęła się krzątać około przygotowania uczty, która się składała z twarogu, przyrządzonego w oczach naszych z mleka, wstrząsanego w worku, oraz z kury i kozła, zabitego w stepie.

Odwzajemniając się za gościnność zaprosiliśmy wodza na wieczór do namiotu naszego, gdzie z gustem połknął zawartość całej puszki sardynek i zakąsił galetami, maczanemi w herbacie. Znalazła się dla niego butelka piwa i wina. Język mu się rozwiązał, i gdy przekonaliśmy go, że dla naszych celów literackich nie potrzebujemy być wysłannikami jakiego państwa dla celów politycznych, począł się wywnętrzać, jako za pośrednictwem agentów kupieckich zarówno od południa, jak i od zachodu, proponowali mu Niemcy, żeby im sprzedał całe swoje terytoryum, lecz on woli wejść w układ z Anglikami Capetownu za cenę ich protektoratu i wspólnego zwalczania brunatnych ludzi w Korannie.

Nazajutrz rozległ się znów dzwonek, tym razem zwołujący osadę na nabożeństwo do domu naczelnika. Poszliśmy tam również za tłumem. Nie wszyscy mogli się zmieścić w izbie, i co przedniejsi tylko mężczyzni siedzieli, jak wczoraj, na wiązkach i pękach skór, kobiety zaś przykucnęły na ziemi, a reszta ludzi stała na zewnątrz, przy drzwiach otwartych. Ascela zarzucił sobie na ramiona płaszcz łatany, o barwach niewyraźnych, i rozpoczął odmawiać recitatiwem modlitwę, po której zaintonował psalm:

„Słuchaj, ludu mój, zakonu mego; nakłońcież uszu swych do słów ust moich“.

Obecni *mezza voce* wtórowali mu, aż skończył kazanie od słów: „Zdejmijcie tę szatę plugawą z niego... Niech włożą piękną czapkę na głowę jego“.

Zaczem, wskazując na nas, jął opowiadać, jako z dalekich krajów przybywają ludzie, poznać ten kraj i ludzi, że wiedza a światło jest rzeczą tak potrzebną, jak woda na pustyni, jak kawał mięsa pieczonego w kraalu, że mu wstyd, jako na przyjęcie takich gości nie mógł się przyoblec w szaty godowe, na których mu zbywa. Zakończył również psalmem.

Zaprosiliśmy go potem do siebie, i daliśmy tak pożądane szaty godowe — w postaci pary szkarpetek, koszuli i kubraka, z czego był bardzo uradowany, Ale inni widząc tąką hojność, oblegli nas tłumnie i poczęli domagać się także daniny, lub pożądliwie spoglądać na rzeczy nasze.

— Przystojne będzie miał teraz kaznodzieja okrycie na nogi, musicie mieć dużo takich — mówi jeden.

— Ładny nóż, — prawili inni, oglądając noże przygotowane do jedzenia, — czybyś nie mógł, Sieur, nam sprzedać?

— My przecie nie handlujemy.

— Dam kurę za to — mówił inny, oglądając lampkę do gotowania herbaty.

Ale największa pożądliwość, zwłaszcza między kobietami, zapanowała na widok lusterka, przy którem poprawiał przedobiednią tualetę swoją Torelli. Gdy jedna z nich przejrzała się w niem, pochwyciła je z przed włocha i, pokazując towarzyszkom swoim, skakała radośnie; każda po kolei przeglądała się, rozmazała równomiernie po twarzy szminkę, tu i ówdzie zblakłą, a którą się one malują (ze zwilżonego ciemnego proszku roślinnego), i niejedna przyrzekała towarzyszyć nam przez pustynię i pełnić służbę kuchenną w obozie, w zamian za takie lusterko.

Gdyśmy zasiedli do obiadu, towarzystwo wcale się nie zmniejszyło. Ten i ów Bastard, spostrzegłszy wolny widelec, bez ceremonii brał nim z misy kawał mięsa i próbował; a inny, nie czekając na to, palcami chwytał kąski, aby się przekonać, jak i co jedzą baatowie ze świata dalekiego. Aż nadszedł Dirk Verlander i porozpędzał tych nieproszonych współbiesiadników, Zasiadłszy zaś sam przy kieliszku koniaku, począł jeszcze raz oglądać nasze karabiny i przymawiać się do nich, a przynajmniej do jednego z nich; towarzyszący zaś mu członek rady, gdym wyszedł wydać ludziom polecenie popędzenia mułów do wodopoju, zastąpił mi drogę i jął przekonywać, że należy opłacić naczelnikowi pewną daninę za przejście przez jego terytoryum i prawo łowów na przylegającej pustyni.

— A Verlander co zapłacił za zyskanie takiego prawa?

— A no, krew naszą — odrzekł.

— O którą pewno nie prosili was pierwotni brunatni posiadacze tej ziemi.

— Wódz chętnie, zamiast opłaty, poprzestanie na dwóch lub jednym karabinie i podarkach dla niewiast.

— Wodzowie u nas nie noszą karabinów — tłumaczyłem się — po co mu taki ciężar?

Ale po południu posłaliśmy Verlanderowi pistolet dwururkowy, żonie jego chustkę jedwabną, pierścionek pozłacany i łańcuszek niklowy do przypasania spodnicy, trzem zaś faworytom po pierścionku tomahawku; członkom rady daliśmy po parę cygar i po chustce, a od jednego z nich zakupiliśmy cielaka.

Trzeciego dnia jeden z naszych krajowców zakomunikował nam poufnie, że oddział złożony z kilkunastu ludzi Dirka wyruszył przed paru dniami w kierunku południowo-wschodnim, na spotkanie przeciągającego na łowy zastępu kafrów, że przyszło do bójki, kafrowie zostali pokonani, część wzięta do niewoli, i że w dwóch partyach prowadzą jeńców do Mieru. Gdy rozpytujemy o miejsce walki i siły stron obu, a opatrujemy broń naszą, nadchodzi asceta z wieścią, że w nocy słychać było wycie szakalów od południowego wschodu.

— Właśnie też słyszeliśmy o tem — powiadam, — i dla tego postanowiliśmy na nich zapolować, a może się uda kozła jakiego zabić.

Pozostawiwszy Giacoma z trzema ludźmi na straży namiotu i wozów, sami z resztą uzbrojonych ludzi wyruszyliśmy na step.

O kilometr za osadę rozdzieliliśmy się: trzem Beczuanom kazaliśmy iść na wschód, godzinę drogi, i następnie zatoczyć koło ku południowi; jeden zaś krajowiec i jeden bur musieli tyleż czasu iść na południe, zatoczyć koło ku wschodowi; sami zaś, we dwóch puściliśmy się na przełaj, promieniem centralnym tego łuku, a więc wprost w kierunku południowo-wschodnim. Gdyby ktokolwiek z trzech partyi spotkał Bastardów z kaframi po drodze, ma dwoma kolejnemi strzałami karabinowemi dać hasło innym do zejścia się w owym punkcie.

Ze dwie godziny szliśmy z Torellim; po drodze zabiliśmy żmiję, mającą metr długości, dwa centymetry szerokości, drugą zaś żółtą, przeszło dwumetrowej długości; nadto upolowaliśmy, widocznie zbłąkane tu ze stawisk rontenbachowych, trzy flamingi. W następnej godzinie, posuwając się ciągle naprzód, byliśmy już na owym punkcie, skąd z jednej i z drugiej strony ujrzeliśmy zdała obie partye ludzi naszych, ale ani śladu Bastardów. Wracamy więc powoli tą samą drogą. Po jakiejś godzinie udało się Torellemu celnym strzałem położyć gazelę.

Niedługo potem zatrzymujemy się na odpoczynek, a zaledwie przyłożyłem róg do ust, aby przywołać ludzi do zabrania kozla, słyszymy za nami głuchy strzał, po paru minutach trzy, jeden po drugim. Co u licha? Biegniemy tam, biegniemy dobrych dziesięć minut, ale odległość wcale się nie zmniejsza między nami a ludźmi, których wreszcie widzimy więcej niż zostawiliśmy; wpatrujemy się bliżej: to zatrzymują się i szamotają, to gonią jedni drugich, widocznie nastąpiło spotkanie z Bastardami. W pół godziny nawracają trzej nasi Beczuanie i wiodą dwóch innych, obcych kafrów i opowiadają nam, — jako za piaszczystym nasypem ujrzeli trzech Bastardów, którzy wlekli za sobą dwóch związanych jeńców kafrskich i jednego z nich, opierającego się bardziej, bili, i chcieli widocznie zamordować; nasi dali wtenczas jeden strzał na alarm, a gdy to nie poskutkowało, posłali trzy strzały, z których jeden zranił bastarda; gdy zaś towarzysze jego zatrzymali się, aby go zabrać z sobą, nasi nadbiegli i po krótkiej walce ręcznej odebrali dwóch kafrów, a bastardów obiwszy, przepędzili. Od wziętych zaś kafrów dowiadujemy się, że w walce z bastardami poległo dwóch kafrów, a trzeciego ranionego miano dobić, ale tego nie wiedzą z pewnością, bo to był inny oddział bastardow, który też inną poszedł drogą, gdy opowiadający pociągnięci zostali przez trzech w tę stronę. Po nadejściu bura i czwartego krajowca kazaliśmy im obu zabrać upolowaną zwierzynę, a kafrom iść za nami. Idąc naprzód, naradzamy się z Torellim, co począć z jeńcami i jak się wywikłać z tej sprawy w stosunku do Dirka Verlandera. Po naradzie, obdarowaliśmy jeńców wolnością i pozwoliliśmy im wracać do swoich, sami podążyliśmy do Mieru.

Ledwie weszliśmy do osady, oglądamy się, a niema i naszych trzech Beczuanów: zniknęli, jak kamfora, razem z bronią. Pytamy czwartego, a ten łypnął oczyma, wykrzywił twarz i powiada:

— Ukryli się za kraalem, boją się wracać do Dirka, ale niech się baas nie boi, karabiny się znajdą.

Późno wieczór przychodzi do nas Dirk, pochmurny i gniewny, z wyrzutami:

— Wasi ludzie zabili mi jednego człowieka, cóż teraz będzie?

— Czy zabili, tego nie wiemy, chyba że z ran umarł; ale to wiemy na pewno, że twoi ludzie zabili dwóch obcych kafrów, a jeśli tego samego nie uczynili z naszymi, to dla tego, że im się nie dali.

— Ależ wasi pierwsi napadli na moich i odbili im jeńców.

— Co zrobili i jak postąpili nasi ludzie, tego sprawdzić nie możesz, bo jak widzisz: ani ich, ani jeńców nie ma; ale za to jest wieść, że twoi ludzie zamordowali bezbronnego jeńca. Gdyby to się sprawdziło, a już nieraz przed nami obiegały takie wieści po świecie, — to hańbą okryliby się ci, którzy chcą uchodzić za chrześcian.

Zbity na razie z tropu, zamilkł Verlander i odszedł w milczeniu. Nazajutrz, po nabożeństwie, nadbiegł asceta z wiadomością, że Dirk bardzo niezadowolony, ale że on, asceta, będzie pośredniczył między nami. W końcu na zgodę uraczono nas twarogiem; a my, odczepnego daliśmy w podarunku jeden rewolwer, z czego wódz był niezmiernie uradowany, i gdy dnia następnego wyruszyliśmy w pustynię, polecił dwom członkom rady, aby nas dla honoru odprowadzić parę staj za osadę.

* * *

W pustyni kalaharskiej.

Przed samem, południem, na popasie, w pół godziny po rozłożeniu ogniska, gdy dym z niego dobrze się w górę wznosił i widzialny był na kilka kilometrów dokoła, zjawiają się naraz nasi trzej zagubieni Beczuanie z karabinami w ręku, za nimi zaś dobrowolnie przybyli oswobodzeni przez nas z niewoli kafrowie, oświadczając, że chcą nam służyć w dalszej podróży. Zgodziliśmy się na to chętnie, bo się w ten sposób zwiększał zastęp nasz, dając większe bezpieczeństwo wędrówki, a o brak wyżywienia tylu ludzi nie obawialiśmy się wcale, bez względu na zapasy konserw, które mogły wyczerpać się niebawem: obfitość zwierzyny i dostatek nabojów na łowy zapewniały nam zupełny pod tym względem spokój.

Troszczyć mogliśmy się chyba o wodę, ale i tej dotychczas nie brakło. Po dojściu do Kerres, nie udaliśmy się ku północnemu Norugas — jak nam radzili Bastardo-

wie, uważając ten szlak za najdogodniejszy ku Ngamie, — lecz zwróciliśmy się w kierunku północno-wschodnim, na przełaj ku łożyskom Oubu i Nosobu. Tak nam radzili uwolnieni kafrowie, twierdząc, że droga jest krótsza i na niej najłacniej i najrychlej napotkać można stada strusiów i żyraf, do których nieustannie wzdychał Torelli i Giacomo

Jakoż na drugi dzień po przejściu łożyska Nasobu na zachód, nu parę dni drogi od Lehutitu, spotkaliśmy koczownicze plemię Vaalpów (zaliczanych do kafrów Hotentotów Katti zwanych), u których w każdym szałasie znaleźliśmy wielką ilość jaj strusich. Używają ich do czerpania i przechowywania wody na czas posuchy. W tym celu kobiety ich, zaopatrzone w rurki z sitowia lub trzciny, wychodzą na rosę i, wsysajac przez owe rurki jej krople, osiadłe na liściach traw i krzewów, wpuszczają do skorup jaj strusich, a gdy te się napełnią, zakopują je w ziemię. Gdy zabraknie z czasem wszelkiej wilgoci i rośliny wyschną, kobiety odkopują jaja i mają jaki taki zapas wody.

Spotkawszy kilka kobiet w stepie przy takiej czynności, pytamy, czy obawiają się posuchy?

— Sama wysycha — odpowiada jedna z nich, i, patrząc wdzięcznie na nas, ofiaruje, mimo to, tak cenny napój do naszego rozporządzenia.

Daliśmy im po chusteczce i skorupy przy nas zostały.

— Czemu nie napijesz się? — pytała jedna Torellego.

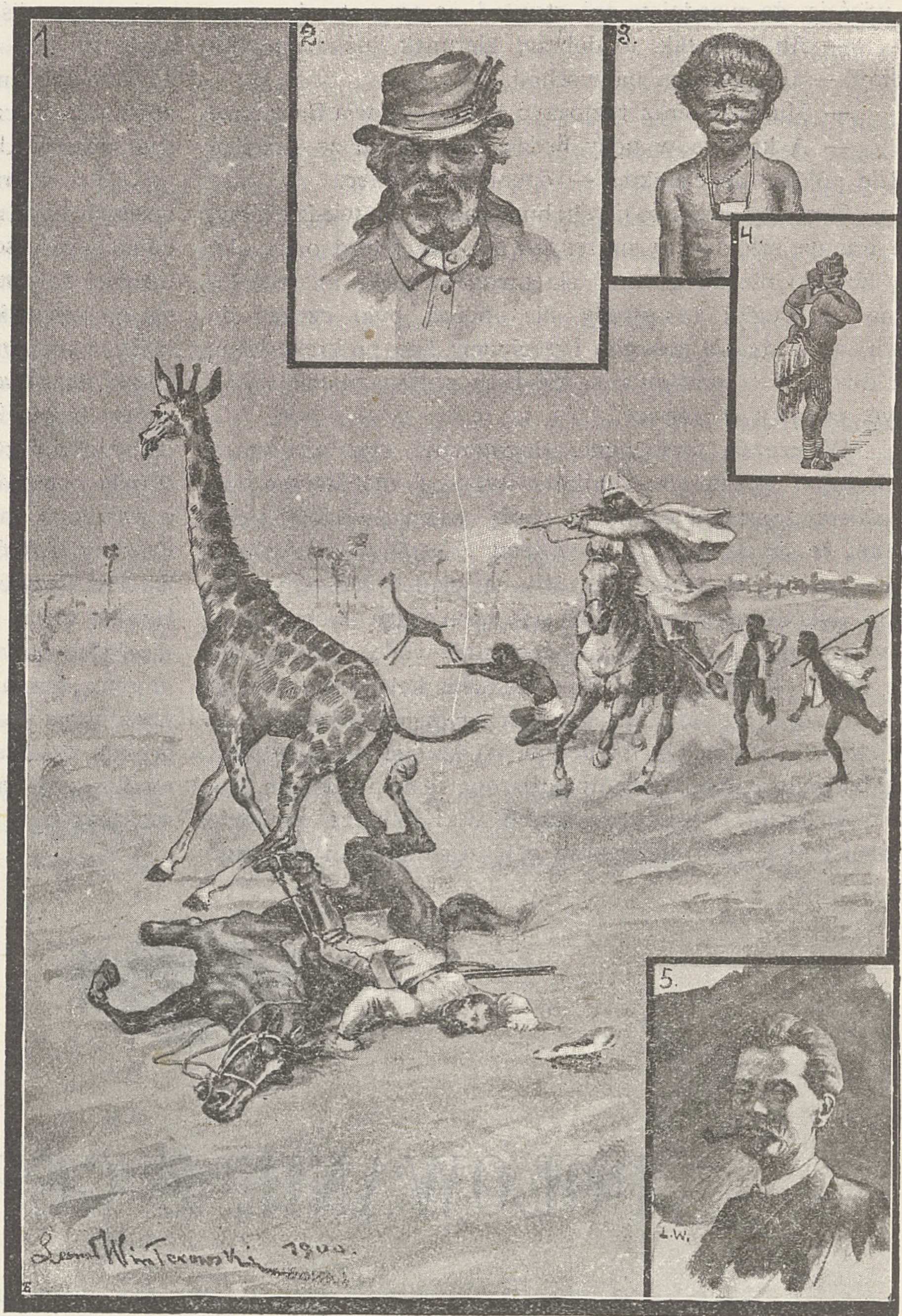
Spojrzał na nią: była ładna: wypił.

Przez cały dzień nie mieliśmy spokoju. Wszystkie kobiety przychodziły z ofertami skorup, każda chciała mieć chustki i paciorki.

Gromady tych koczowników dochodzą aż do jeziora Ngami, włócząc się tak samo jak Krajowce po całej pustyni kalaharskiej. Tak musiało być i za czasów misyonarstwa Livingstona, około 1853 roku, bośmy w jednej z takich gromad spotkali 50-paroletniego Vaalpa i mało co młodszą od niego kobietę, a oboje mieli słabe pojęcie o chrześciaństwie, żegnali sie często, i mówili o Chrystusie ukrzyżowanym, o Matce Jego, opowiadajac, jako ich nauczał tego dobry biały człowiek, gdy byli podrostkami, a nauczał na trzy dni drogi przed jeziorem Ngami. Podług opisu osoby i szczegółów — nie mógł to być nikt inny jeno Livingstone.

Syna tej kobiety, 30-letniego Vaalpa, jako strzelca, obytego z łowami na strusie, wzięliśmy z sobą. Mówił on, że przed dwoma dniami, wracając z innym ze wschodu, napotkał dwa stada; z jednego zabili dwie sztuki, i z nich to sprzedał nam parę piór; drugie stado, zapewniał, w ciągu dnia lub dwóch drogi napotkamy niewątpliwie.

Idąc za jego wskazówkami, wyruszyliśmy po południu z całym obozem, wlokąc się noga za nogą, z powodu co raz głębszego i gęstszego piasku. Po kilku godzinach muły i woły były tak zmęczone, że mimo nawoływań, bicia i trzaskania z biczów, postąpić nie chciały ani o krok dalej. Rozbiliśmy namiot. Zapas cały tak się wyczerpał, że zaledwie zostały dwie konewki. Dokoła, jak okiem sięgnie, ani znaku żadnej ciemniejszej wklęsłości, któraby wykazywała ślady wody zaskórnej. Było ze dwie godziny jeszcze do zachodu słońca; rozbiegliśmy się więc na wszystkie strony dla wyszukania jamy. Ja z jednym



1. Polowanie na żyrafy. — 2. Dirk Verländer. — 3. Buszman. — 4. Basutka. — 5. Jan Grzegorzewski.

Beczuanem i Krzowcem poszedłem na południe po za zaspy, i po godzinie poszukiwań znaleźliśmy parę krzaków ostu z liśćmi zielonemi; o parę kroków stamtąd zieleniła się kępa trawy. Po rozgrzebaniu ziemi na kilka centymetrów wgłąb, ukazała się wilgoć; nuże ją grzebać i kopać coraz głębiej. Wykopaliśmy może metr głębokości: wilgoć coraz znaczniejsza i rzeźwiejsza, dalej zaś znów suchy pokład.

— To nic — powiada krzowiec — zostawiwszy to na noc, może się nasączy.

Tymczasem Beczuan, który o kilkaset kroków dalej czynił poszukiwania, macha do nas rękoma i tajemniczo znać daje, abyśmy co rychlej nadbiegli.

— Bass, popatrz! — i wskazuje na ziemię: świeże, nie zasypane jeszcze piaskiem, ślady dużych łap strusia, a dalej coraz więcej i gęściej, widocznie stada całego. Ucięliśmy kilka łodyg ostów, związaliśmy na długość przeszło 2 metrów, na wierzchu zatknęliśmy chustkę białą, i zakopujemy przed wydrążoną studnią, sami zaś co tchu wracamy do obozu. Od wschodu zabiegają nam drogę Beczuanie, wysłani przez Torellego na spotkanie nasze z wieścią, że wpadnięto też stamtąd na trop strusi.

— Ah, jeśli tak, to dobrze, kierunek już nam wiadomy — od południa na wschód.

— Musimy zaraz roztoczyć koło — mówią Beczuanie

— A ktoż to w nocy będzie się uganiał ze strzelbą, gdzie pójdzie po ciemku? — oponuje krzowiec.

Znaliśmy lenistwo tych buszmanów i wiedzieliśmy, że mu nie szło tyle o sukces łowów, jak raczej o to, aby się zbytnio nie fatygować, ale uwaga wydała mi się słuszną; z drugiej zaś strony nie można było czekać do rana, aż ślady się zasypią. Przecinamy lasy po krakowsku, na dwoje, i w oczekiwaniu księżyca postanawiamy wyruszyć na łowy o północy.

Wieczerza przy ogniu dogotowuje się, aż wraca i Giacomo z czterema ludźmi. wszyscy obladowani tak wielkiemi zapasami samy z nacią, liśćmi świeżemi i dyniami, że się aż uginają pod niemi. Szczęśliwa to zdobycz i, co prawda, w samą porę, aby zaświadczyć o tem wielkiem dobrodziejstwie, jakiem jest sama dla tych obszarów pustynnych, dla których zastępuje wodę. Gdyby onej nie było, nie byłoby tu ludzi, i pustynia kalaharska stałaby się Saharą. Są to odmiany tak zwanych wszędzie na Wschodzie, a i u nas na Podolu i Ukrainie — kawonów, a gdzieindziej dyń, to znów arbuzów, jeno w dzikim stanie rosnących, a spożytkowanych w Kalaharze zarówno z naci i liści, jako też z soczystej części łupiny i mięsnego wnętrza owocu, ale zachować się mogą i rok cały, byle w suchem miejcu; tylko po tak długim czasie gorzknieją, gdy świeże i młode mają słodycz, lub smak lekko kwaskowaty i są orzeźwiające.

Wycisnęliśmy teraz sobie tego samowego ze dwa wiadra na zapas i jeszcze wystarczyła reszta na zgotowanie kawy wieczornej i porannej, a i niejeden natychmiast chłodzącym płynem ugasił pragnienie; przez noc sok ten skwaśniał i musiano go ocukrować. Zwierzęta nasze pożerały liście i nać z pożądliwością.

Gdy księżyc zeszedł i zalał falami jasnemi całą równinę, poszliśmy najpierw ku wykopanej studni: nasączyło się tam w ciągu kilku godzin wody zaledwie tyle, że jako tako można było napoić bydło, oraz kilka kwart zostawić jeszcze na zapas, na wypadek, gdyby ustało dalsze sączenie do jutra.

Już dobrze po północy wyruszamy wreszcie wszyscy, zostawiwszy na straży obozu krzowców z burem. Giacomo wysforsował się na koniu, aby w razie potrzeby odegrać rolę naganiacza. Kafrowie i Korańczycy rozbiegają się na wszystkie strony raz jeszcze, a w miarę tego jak który z nich nadbiega z wieścią o dłuższem szląkowaniu, Vaalp dąży za nimi, przypada twarzą ku ziemi, bada kierunek tropu i wciąga powietrze w siebie całą piersią, jakby chciał zwęszyć, obecność zwierza. W ten sposób o milę posuwamy się naprzód, aż też i księżyc zbladł, a jutrzenka na wschodzie różowiec zaczęła. Nadbiega zadyszany Korańczyk, ciągnie nas i Vaalpa o parę staj dalej, i wskazuje ręką, kędy ciemny punkt majaczy. Pochyleni ku ziemi, posuwamy się ostrożnie o kilometr dalej: nie jeden widać, a kilka przedmiotów, jak cienie, ponad któremi dominuje jeden wspaniały; jeszcze bliżej posuwamy się: to drzewo samotnie sterczące w pustyni, jak grusza dziczka na polach naszych; obok niego gromadka z siedmiorga strusiów; troje większych, a czworo mniejszych.

(D. n.).



POLOWANIE Z GEPARDEM.

Prawdziwy myśliwy jest artystą. Do wrażeń, których dostarcza piękny strzał, poprawna praca psa, dołączają się rozmaite inne wrażenia, jakie daje natura bogata i rozkoszna, wspaniałe i malownicze krajobrazy. Prawdziwy myśliwy kocha, podziwia naturę. To też z pomiędzy wszystkich gałęzi nauki, historya naturalna najwięcej powinna zajmować myśliwych i tych, którzy żyją na wsi, bo ona naturę studyuje, ona stara się zbadać jej tajemnice. Jestto najpiękniejsza i najobszerniejsza ze wszystkich nauk — to też tutaj zajmiemy się tylko małą częścią jej części t. j. zoologii.

Pomiędzy tysiącami gatunków zwierząt, które mogą zająć naszą uwagę, znajdują się niektóre gatunki, które przez swoją oryginalność, swoje formy i swoją inteligencyę przedewszystkiem nasze oczy na siebie zwracają.

Z rasy kotów przyzwyczailiśmy się już uważać kota domowego jako jedyny gatunek, który się da przyswoić. Podaje się wprawdzie rozmaite przykłady przyswojonych lwów, tygrysów, ale są to rzadkie wyjątki. Istnieje jednak zwierzę, które, chociaż mało znane, służyło i służy jeszcze swojemu panu z wiernością najlepszego psa. Jestto gepard.

Gatunek ten żyje w całej Azyi południowej i w niektórych okolicach Afryki. Muzeum historyi naturalnej w Paryżu posiadało geparda, pochodzącego z Senegalu. Nosi też rozmaite nazwy w rozmaitych okolicach: Persowie nazywają go „Fadh Youse“ czyli „lampartem grzywia-

stym“ — Turcy „Jaz“, Hindusowie „tygrysem myśliwskim“ — ta ostatnia nazwa maluje go najlepiej. Jest on bowiem tygrysem gepard, ale tygrysem o kształtach wysmukłych, gibkich, a zarazem o postaci wyniosłej i powabnej. Głowa o rysach delikatnych, mała — włos jest na szyi dłuższy i tworzy tu rodzaj grzywy, futro płowe z góry, z małemi plamami czarnemi, białe od dołu — przytem gracya nieporównana w ruchach, oto piękne zwierze, które daje się łatwo oswoić i uczynić z siebie miłego towarzysza człowieka. Pomimo, że gepard jest zwierzęciem dużem, liczy bowiem bez ogona jeden metr długości, nie okazuje jednak żadnej dzikości i na zawołanie przybiega do człowieka, z którym się z wielką chęcią pieści. P. Boitard przytacza przykład, odnoszący się właśnie do owego geparda z muzeum paryskiego. Pewnego dnia przybył do „Jardin de plantes“ mały murzynek służący, liczący dziesięć do dwunastu lat — spostrzega on geparda w swojem zagrodzeniu i w tej chwili woła kilkakrotnie „Fadh, fadh!“ Gepard zbliża się, murzynek rzuca na ziemię wygalonowany kapelusz i surdut liberyjny, przesadza palisadę i rzuca się na geparda, który oczekuje go z niecierpliwością i z chwilą, gdy go może dosięgnąć, zaczyna go lizać i pieścić się z nim w tysiączne sposoby, obcierając się o niego, jak kot. Kończy się na tem, że obydwa, trzymając się w objęciach, przewracają się po gazonie, bawiąc się w najlepsze. Dowiedziano się później, że gepard drogę z Senegalu do Francyi odbył razem z murzynkiem“.

Naturalnie, że pomyślano o zużytkowaniu tych własności geparda. Tak w Malabarze jak i w Persyi tresowano geparda do polowania. Nie robią już tego prawie dzisiaj, bo tam, gdzie strzelba się pokazała, wyparła ona bardzo emucyonujące sposoby polowania z gepardem, chartem i sokołem. Polowanie z gepardem odbywało się w sposób następujący.

Myśliwi wyjeżdżają konno, z gepardem siedzącym z tyłu za nimi, z oczami zawiązanemi, z łańcuszkiem na szyi. Przebywają oni w ten sposób doliny, uczęszczane przez gazele i z chwilą gdy ujrzą stado gazel, zdejmują gepardowi z oczu zasłonę, puszczają go wolno i pokazują mu palcem zwierzynę. Gepard zsuwa się w tej chwili z konia i zaczyna się podkradać pod zwierzynę pasącą się. Każdy krzaczek, każda wyniosłość stanowi zakrycie dla ostrożnego zwierzęcia. Jeżeli gazele uczynią jakiś podejrzany ruch, przypada on do ziemi i nie rusza się dopóty, dopóki wszystko się nie uspokoi — wtedy dopiero zaczyna się dalej posuwać. Gdy już przysunie się na odpowiednią odległość od stada, oblicza doskonale skok i nagle, w czterech lub pięciu susach błyskawicznej szybkości dosięga wybranej ofiary, którą w jednej chwili dusi. Zaczyna wtedy pić jej krew — myśliwy powinien w tej chwili znaleść się na miejscu, aby przez namowę, pochwały, karesy, odciągnąć go od zwierzyny, poczęstować go kawałkiem mięsa, potem uwiązać i na nowo rozpocząć w ten sam sposób polowanie. Jeżeli gepardowi skok się nie uda, nie goni on dalej zwierzyny i powraca smutno do pana — wtedy trzeba go pocieszać pieszczotami, inaczej bowiem straci cały zapał do polowania.

W Persyi polowania te odbywały się z pomocą nagonki złożonej z ludzi i psów, która napędzała zwierzynę na myśliwych, mających przy sobie gepardy.

Zwierzęta te, jeżeli są dobrze wytresowane, dochodzą bajecznych cen — to też tylko bogaci Persowie mogą sobie tego zbytku pozwolić i trzymać tresowane gepardy. Cesarz niemiecki, Leopold I. posiadał dwa gepardy, doskonale wytresowane. W ogóle geopard, zwierze bardzo piękne, bardzo łagodne, inteligentne i pełne poświecenia, jest jednym z felidów bardzo godnych uwagi, chociaż bardzo mało znanych. Charakterystyczną cechą geparda, różniącą go od innych zwierząt tego gatunku, jest to, że nie ma pazurów wciągalnych, ma więc pazury podobne do pazurów psa, co nie pozwala mu na wspinanie się po drzewach, ale umożliwia mu bieganie i to z taką szybkością, do jakiej żaden z gatunku kotów nie jest z dolny.

(Garreau de Dombasle, Chasseur français).



Zachowanie się zwierzyny po strzale.

Jak ciekawe i żadnej regule nie podlegające jest zachowanie się każdej zwierzyny po strzale do niej wymierzonym, wie każdy z myśliwych z własnego doświadczenia. Tych kilku uwag, które tu mamy zamiar skreślić, ma za cel wytłumaczyć zachowanie się zwierzyny po strzale ze względu na jej chwilowy stan psychiczno-fizyologiczny i na inne okoliczności. Nie rzadko czyta się w pismach fachowych, że jeleń lub rogacz po strzale chybionym wytrzymywał i czekał spokojnie, aż go druga lub trzecia kula dosięgnęła. Są to wypadki, które zawsze mają za powód jakieś wpływy psychiczne lub są w związku z faktem, że zwierzyna do wszystkiego może się przyzwyczaić. Ogólne więc mniemanie, że przez strzelanie w rewirze nie można doprowadzić do dobrego stanu zwierzyny są z gruntu fałszywe. Nawet płochliwa kozica przyzwyczaja się do strzałów i nie opuszcza rewiru. Piszący obserwował setki wypadków zachowania się zwierzyny po strzale i pragnie zapoznać czytelników z niektórymi z nich, które według jego zdania są więcej ciekawe. Przed kilku laty strzelał piszący do rogacza, który spokojnie żerował na zrębie i chybił go z pierwszej lufy. Rogacz podniósł tylko głowę i wkrótce potem zaczął na nowo najspokojniej żerować, nie troszcząc się dalej o odgłos strzału. Po drugim strzale, również chybionym, nie robił sobie rogacz również nic z niego i żerował dalej. Dopiero trzeci strzał położył go na miejscu. Zachowanie się tego rogacza było mi całkiem jasne, wiedziałem bowiem, że niedaleko miejsca, w którem rogacz zwykł był przebywać, znajdował się ka-

mieniołom. W kamieniołomie tym strzelano często nabojami dynamitowymi, rogacz przyzwyczaił się więc do odgłosu strzałów. Innym razem polowałem na jelenie. Udało mi się podejść cztery sztuki, w ich liczbie dwa jelenie. Stadko to zobaczyło mnie już i w kilku skokach zbiegło do zagajnika olszowego, w którym jednak zatrzymało się na chwilę, tak, że znalazłem chwilę czasu, aby jednemu z rogali posłać kulę. Po strzale spostrzegłem, że dwie łanie i jeleń uciekły w drugą stronę, drugi zaś jeleń zaczął ku mnie kłusem biedz, na dziesięć kroków przedemną się zatrzymał, i zaczął o pień bukowy wycierać zęby. Tak mnie to skonsternowało, że dopiero wtedy strzeliłem, gdy jeleń do lasu wolnym krokiem wracać począł. Czy był on przyzwyczajony do strzałów, jest rzeczą wątpliwą, bo kamieniołomów, ani żadnych innych przedsiębiorstw, w którychby strzelano, w okolicy nie było. Zdaje mi się, że zwyczajna płochliwość, cechująca jelenie, była w tym wypadku na urlopie, co tem więcej dziwić może, że w tym rewirze bardzo rzadko w ogóle na jelenie polowano. Podobny wypadek spostrzegłem przy strzelaniu do łani. Strzelał do niej jeden z moich towarzyszów. Po dwóch chybionych strzałach, przyszła ona tak blisko do niego, że ją położył trzecią kulą na dwadzieścia kroków odległości. I tutaj pokazało się, że zwierzyna ta, tak zwykle płochliwa, zapomniała w tym wypadku o wszelkiej ostrożności i nie poznało niebezpieczeństwa. Przed dwoma laty, padał właśnie pierwszy śnieg, tropiłem kuny w kniei, na wypadek jednak spotkania się z rogaczem lub jeleniem wziąłem strzelbę z jedną lufą sztućcową. Zaledwiem wszedł do lasu spostrzegłem na przeciwległej uboczy stojące dwie sarny, które mogłem podejść, korzystając z zakrycia, na jakie pięćdziesiąt kroków. Szczęśliwie dosięgnąłem tego punktu, z którego mogłem strzelić i stąd poznałem, że jedna ze sztuk była silnym szóstakiem. Gdy się po strzale dym rozszedł, spostrzegłem mojego rogacza stojącego na miejscu w niezmienionej postawie, jak patrzył za uciekającą sarną. Nabiłem strzelbę na nowo i znowu chybiłem — rogacz puścił się pędem i pokazał mi się dopiero na drugim brzegu parowu, na miejscu wolnem, ale w każdym razie na bardzo niepewny, daleki strzał. Bliżej nie miałem nadziei go dostać, dla tego strzeliłem nie namyślając się dłużej. Któż jednak opisze moje zdziwienie, gdy po strzale rogacz stanął, jak posąg z marmuru wykuty. Strzeliłem jeszcze dwa razy i dopiero ostatnia kula dosięgnęła go w komorę.

W sierpniu zeszłego roku polowałem na kozice w Alpach seethalskich, w tak zwanem „Winterleiten“. Dyana zdawała mi się sprzyjać, gdyż wkrótce spostrzegłem dwie kozice, które wśród rzadkich krzaków na pochyłej bardzo uboczy spacerowały. Przyszło mi bardzo łatwo podsunąć się na sto czterdzieści kroków i z tej odległości strzeliłem do jednej ze sztuk. Ku wielkiemu memu zdziwieniu nie padła ona — obie sztuki jednak stanęły nieruchomo i zaczęły patrzeć bystro w kierunku strzału. Dopiero gdym się drugi raz złożył, zniknęły obie w krzakach. Ponieważ w tym rewirze bardzo rzadko strzelano, należy przyjąć, że strzał dla tych dwóch sztuk był nowością — wiedziały one jednak dobrze, że chodzi tu o ich skórę, bo jak tylko przyszły do przytomności, usunęły się z moich oczu z szybkością błyskawicy. Obok strzelnicy wojskowej w Judenburgu, gdzie strzelają tyle razy dziennie, można obserwować sarny, które spokojnie o 300 lub 400 kroków dalej żerują nie troszcząc się zupełnie o strzały. Ciekawem jest to, że taka obojętność na strzały trafia się właśnie u tak płochliwych zwierząt, jak kozica, jeleń i t. p. Stanowczo jest to chwilowy stan bezmyślności, który prędzej lub później ustaje. Jeden z moich znajomych myśliwych opowiadał mi niedawno, że przy podchodzie napotkał dwa walczące rogacze i że do jednego z nich strzelił, jednakże chybił. Jeden z rogaczy uciekł szybko po strzale, drugi został i patrzył za uciekającym. Częstszym niż bezmyślność powodem niezwykłego zachowania się zwierzyny po strzale jest przyzwyczajenie się, jak n. p. do owych eksplozyi w kamieniołomach, do widoku pociągów, rębaczy, bydła, do czego się zwierzyna bardzo przyzwyczaja. Gdzie się wiele bydła pasie, tam łatwiej jest myśliwemu podejść zwierzynę, niż tam, gdzie bydła nie ma. Często zdarzało mi się, żem bez zachowania żadnej ostrożności poszedł blisko do rogacza lub jelenia, pomimo, że czułem, iż mnie dobrze już z daleka widziały.

Dałoby się dużo na ten temat pisać, ale na razie już dosyć będzie tych uwag. Może skłonią one innych myśliwych do zabrania głosu w tej sprawie.

(J. Stroinigg, Weidmansheil.)



WILK.

(Przez Guy de Maupassant.)

Oto, co nam opowiadał stary markiz d' Arville przy końcu obiadu, danego w dniu św. Huberta przez baronów Ravels.

Tego dnia sforsowano jelenia. Markiz sam tylko nie brał udziału w tem polowaniu, nie polował bowiem w ogóle nigdy.

Podczas całego długiego obiadu mówiono tylko o mordowaniu zwierzyny. Nawet damy interesowały się, często nieprawdopodobnemi, opowiadaniami o krwawych wypadkach, a opowiadający nie szczędzili gestów, naśladujących walkę człowieka ze zwierzem, aby tylko opowiadanie uczynić jak najbardziej zajmującem.

P. d'Arville opowiadał dobrze, z pewnym rodzajem poezyi, może rubasznej, ale niepozbawionej wdzięku. Musiał opowieść swoją powtarzać nieraz, bo ją recytował płynnie, nie wahając się w wyborze wyrazów, bardzo zręcznie zresztą dobranych.

„Nie polowałem nigdy, mój ojciec również, podobnie

jak mój dziad, pradziad i prapradziad. Ten był za to synem człowieka, który polował więcej, niż wy wszyscy. Umarł on w r. 1764. Opowiem wam, w jaki sposób.

Na imię było mu Jan — był on żonatym i ojcem tego dziecka, które było moim prapradziadem. Mieszkał on razem ze swoim młodszym bratem, Franciszkiem d' Arville, w naszym zamku w Lotaryngii, położonym wśród lasów.

Franciszek d' Arville został starym kawalerem z miłości dla myśliwstwa.

Obydwaj polowali razem jak rok długi, bez spoczynku, bez przestanku, bez śladu zmęczenia. Niczego innego nie uznawali, nie rozumieli nic innego, nie mówili o czem innem, tem tylko żyli. Namiętność ta straszliwa, nieubłagana, nurtowała w ich sercu, nie zostawiając już żadnego miejsca dla czego innego. Nie wolno było im pod żadnym warunkiem przeszkadzać w czasie polowania. Mój prapradziad urodził się właśnie w czasie, kiedy jego ojciec gonił lisa — i Jan d' Arville nie przerwał polowania, ale zaklął: „Ten błazen mógł zaczekać na hallali“.

Franciszek był jeszcze więcej zapalonym, niż jego brat. Zaraz o świcie szedł oglądać psiarnie, potem szedł do masztarni, potem strzelał do ptaków blisko zamku aż do czasu, kiedy wyruszano na polowanie na jakąś grubszą zwierzynę.

Nazywano ich w okolicy „panem markizem“ i „młodszym panem“. Szlachta ówczesna nie postępowała tak, jak świeża szlachta dzisiejsza, która chce wprowadzić hierarchię w tytułach — syn markiza nie jest hrabią, podobnie jak syn generała nie jest pułkownikiem. Ale próżność drobiazgowa dzisiejszego pokolenia znajduje przyjemność w tem urządzeniu.

Powracam do moich przodków.

Byli oni, jak się zdaje, ogromnymi ludźmi, siłaczami kościstymi, zarosłymi i gwałtownymi. Młodszy, wyższy jeszcze niż starszy, miał taki silny organ, że, jak mówi legenda, liście na drzewach trzęsły się, gdy w lesie zakrzyknął. Musiał to być wspaniały widok, gdy tych dwóch olbrzymów siadało na swoje olbrzymie konie, gdy się wybierali na polowanie.

Otóż, pod koniec zimy r. 1764 nastały nadzwyczaj silne mrozy. Wilki zaczęły napadać na ludzi. Atakowały one spóźnionych wieśniaków, wśród nocy wałęsały się koło domów, wyły od zachodu do wschodu słońca i dziesiątkowały obory.

Wkrótce zaczęły krążyć dziwne wiadomości Opowiadano o olbrzymim wilku, prawie białej maści, który miał pożreć dwoje dzieci, odgryść ramię jakiejś kobiecie, podusić wszystkie psy podwórzowe w całej okolicy, który z całą zuchwałością wchodził do ogrodzeń, węsząc bez ceremonii pod progami mieszkań. Wszyscy mieszkańcy takich domów twierdzili, że słyszeli oddech potwora, który poruszał płomień świecy. I nagle zapanowała trwoga w całej okolicy. Nikt nieśmiał wychodzić po zachodzie słońca. Zdawało się, że ciemności przepełnione były obrazem tego potwora....

Bracia d' Arville postanowili wytropić i zabić wilka — zaprosili więc całą okoliczną szlachtę na wielkie polowania, które w tym celu urządzili. Wszystko jednak na próżno. Ani obławy, ani przeszukiwania wszystkich gęstwin nic nie pomogły — wilka nie widziano nawet. Zabito niejednego wilka, ale nie tego właśnie. A każdej nocy po polowaniu, jakby z zemsty, wilk napadał na jakiegoś podróżnego albo rozszarpał krowę lub owcę, zawsze daleko od tego miejca, gdzie go szukano.

Jednej nocy wdarł się w końcu do chlewni w samym zamku Arville i zadusił dwa najpiękniejsze jej okazy.

Obydwaj bracia zapłonęli gniewem, uważając ten napad za pogardliwe wyzwanie ze strony zwierza.

Zabrali więc najsilniejsze swoje psy, wytresowane do ścigania najgrubszego zwierza i wyruszyli na polowanie nie ukrywając wściekłości, która ich opanowała. Od świtu aż do chwili, w której słońce purpurowe zniżało się za drzewa ogołocone już z liści, przebiegali knieje — wszystko jednak bezskutecznie.

W końcu, obydwaj w najgorszym humorze, powracali stępo drożyną, wyciętą wśród gęstych krzaków i zdjęci podziwem dla przebiegłości i ostrożności wilka, odczuwali do pewnego stopnia pewien rodzaj tajemniczej obawy.

Starszy mówił:

— Ten zwierz nie jest zwykłym wilkiem. Wydaje się tak, jakby kierował się ludzkim rozumem.

Młodszy zauważał:

— Należałoby może dać poświęcić naszemu kuzynowi biskupowi kule, albo prosić jakiego księdza, żeby odmówił potrzebne modlitwy dla odpędzenia czarów.

Potem obaj zamilkli.

— Patrz, jak to słońce krwawo zachodzi. Wilk z pewnością sprawi jakieś nieszczęście tej nocy.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy w tem koń jego skoczył w bok, koń zaś Franciszka zaczął chrapać z przestrachu. Wielki krzak właśnie przed nimi znajdujący się rozsunął się i olbrzymia bestya, cała szara, okazała się nagle ich oczom i pomknęła dalej w las.

Obydwaj wydali okrzyk radości i pochylając się na szyje swoich ciężkich rumaków, całą siłą rzucili się naprzód, zmuszając konie do jak najszybszego biegu, zachęcając je głosem i ostrogami. Zdawało się, że olbrzymi jeźdźcy unoszą swoje olbrzymie konie i lecą z nimi w powietrzu.

Pędzili tak czwałem, łamiąc krzaki, przeskakując parowy, drapiąc się po urwiskach i dmiąc z całych sił w rogi, aby przywołać swoich ludzi i psy.

Nagle w tym pędzie zapamiętałym, mój pradziad uderzył głową o zwieszający się nisko konar — czaszka rozprysnęła się i jeździec runął na ziemię, rumak zaś przerażony uniósł się, niknac w mroku leśnym.

Młodszy d' Arville zatrzymał się skoczył na ziemię, pochwycił brata w ramiona i spostrzegł, że mózg brata wypływał z rany wraz z krwią.

Usiadł przy martwym ciele, położył sobie jego bezkształtną i krwawą głowę na kolanach i skamieniałem wzrokiem patrzył w nieruchomą twarz swojego brata. Powoli zaczęła go opanowywać trwoga, trwoga szczególniejszego rodzaju, której nigdy dotąd nie odczuwał, trwoga przed ciemnością, przed samotnością, trwoga także przed tym fantastycznym wilkiem, który zabił jego brata z zemsty nad nimi.

Mrok robił się coraz gęstszy, mróz zaostrzał się, tak, że gałęzie drzew, ścinane zimnem, trzaskały. Franciszek podniósł się, drżący, prawie upadający, niezdolny ani chwili dłużej pozostać na tem nieszczęsnem miejscu. Cisza była zupełna — nie słychać było ani psów, ani głosu rogów, las był zupełnie niemy i ta ponura cisza mroźnego wieczora miała w sobie coś strasznego i dziwnego.

Pochwycił w swoje olbrzymie dłonie ciało Jana, podniósł je, położył na poprzek na siodle swojego konia, aby przewieść je w ten sposób do zamku — potem zaczął postępować powoli, nie mogąc pozbyć się uczucia trwogi i zamieszania. Wtem, przez ścieżkę, która już noc zalegać zaczęła, przesunął się jakiś cień ogromny. Był to potwór. Myśliwy wstrząsnął się pod uczuciem nagłego przestrachu — coś zimnego, jakby kropla lodowatej wody, przebiegła mu wzdłuż kości pacierzowej i, jak mnich w obliczu złego ducha, przeżegnał się wobec tego straszliwego włóczęgi. Oczy jego padły jednak na nieruchome ciało brata i towarzysza i nagle, przechodząc od obawy do gniewu, zadrżał pod uczuciem niepohamowanej wściekłości. Skoczył na konia i puścił się czwałem za wilkiem. Pędził za nim przez krzaki, gęstwiny i parowy, przebywając lasy, których nie znał już, mając na oku tylko białą plamę, widoczną wśród cieniów nocy, która uciekała przed nim.

Zdawało się że koń jego jest ożywiony równą mu siłą i zapałem. Pędził z wyciągniętą szyją, prosto przed siebie, uderzając o drzewa i skały głową lub nogami zabitego, zwieszającemi się z obu stron siodła. Gałęzie wyrywały mu włosy, czoło uderzając o konary, broczyło je krwią, ostrogi wyrywały kawałkami korę...

Nagle, koń i jeździec wychynęli się z lasu i wypadli na dolinę, w chwili, gdy księżyc ukazał się nad wierzchołkami gór. Dolina ta, otoczona skałami nie miała wyjścia, przyparty do muru wilk zwrócił się do obrony.

Franciszek wydał ryk radości, który echa powtórzyły jak grzmot i z kordelasem w ręku skoczył z konia.

Zwierz z najeżoną sierścią, z grzbietem w kabłąk zgiętym patrzył na niego oczyma, błyszczącemi jak dwie gwiazdy. Zanim jednak myśliwy rozpoczął walkę, zdjął brata swego z konia, usadowił go pod skałą, podparł mu zbroczoną i bezkształtną głowę kamieniami i, krzyknął mu do ucha, jak gdyby mówił do głuchego:

— Patrz, Janie, przypatrz się, co się dziać będzie!

Wtedy dopiero rzucił się na potwora. Czuł się tak silnym, żeby skałę przewalił, żeby kamienie kruszył w rękach. Zwierz chciał go uchwycić paszczą za pierś, ale on uchwycił go już za gardziel i bez używania broni, dusił go powoli, nadsłuchując, jak ustawał jego oddech, jak serce przestawało uderzać. I śmiał się rozkoszując się męką zwierza, ściskał go coraz mocniej, wołając w upojeniu: „Janie, patrz, patrz!“ W końcu ustał wszelki opór — cielsko wilka opadło. Był martwym.

Wtedy Franciszek, chwyciwszy go w obie dłonie, rzucił go pod nogi bratu, powtarzając wzruszonym głosem: Widzisz, widzisz, Jasiu, masz go!

Potem umieścił na siodle oba trupy i ruszył w drogę. Wrócił do zamku na pół płacząc i śmiejąc się, jak Gargantua przy narodzeniu Pantagruela, wydając okrzyk tryumu i drżąc z radości, gdy opowiadał o śmierci zwierza i jęcząc i wydzierając sobie włosy z głowy, gdy mówił o skonie brata.

I często potem, gdy ten dzień wspominał, mówił ze łzami w oczach: „Gdyby ten biedny Jan mógł mnie widzieć, jak dusiłem tamtego, byłby skonał z radości, jestem tego pewny!“

Wdowa po moim przodku wpoiła w swego syna taką odrazę do polowania, że przeszła ona na jego syna i w dalszym ciągu na mnie.

Markiz d' Arville zamilkł — ktoś rzucił pytanie:

— Nie prawdaż, że opowieść ta jest legendą?“

— Przysięgam wam, że jest co do słowa prawdziwą odrzekł opowiadający.

Wtedy jedna z pań rzekła cicho:

— A przecież piękna to rzecz taka namiętność!



O strzelaniu przez lunetę.

Muszę się przyznać, że mimo szlacheckiej skóry polskiej coś tam z niemieckiej „Haarspalterei“ przesiąkło do wnętrza mojej osoby. Może dlatego, żem się w niemieckich szkołach uczył — bardziej może dla tego, że mi „die deutsche Gründlichkeit“ w łowiectwie i w strzelectwie niemieckiem dotychczas jeszcze imponują. To też gdy się pojawiać zaczęły anonsy w dziennikach niemieckich łowieckich o nieporównanem wynalazku lunet, które osadzone na Mauserowskich sztucerach do kul z półpłaszczem niklowym, albo do kul z twardym płaszczem antymonoołowianym a miękkiem jądrem ołowianem o kalibrze 8⁰ lub nawet 6⁰ milimetrowym — umożliwiają matematycznie dokładne strzały na bajeczne wprost odległości — zacząłem marzyć o tem, jakby to przyjść w posiadanie takiego doskonałego instrumentu. Gdy nadto zaczęli niemcy pisać, jak to cesarz Wilhelm bije jelenie w Grunewaldzie, w Schorfheide i w innych swoich leibrewirach na niesłychanie dalekie mety, bez pudła i wszystko pada na miejscu jak piorunem rażone — powiedziałem sobie, że muszę jednak te historye sprawdzić. Ze sztućce małokalibrowe, o naboju bardzo silnym bezdymnego prochu, z kulami w płaszczach stalowych lub niklowych strzelają bardzo dobrze, o tem wiedziałem, bo taką broń posiadam. Jednakowoż nie zawsze udają się dalekie strzały, bo w mierzeniu trzeba być „peinlich genau“, a przedewszystkiem potrzeba mieć dobry wzrok. Otoż te lunety głównie z tego powodu tak mi się podobały, że przy ich użyciu jest możność zastosowania szkieł do oka i wzrok można skorygować.

To też w ostatnich dwu latach, gdy się nadarzyła sposobność oderwania się od zajęć zawodowych i pobujania trochę po świecie, jak w dym udałem się do Nowotnego w Pradze i jego filii w Karlsbadzie, oglądałem wyroby Springera we Wiedniu, Stiegelego w Monachium a najbardziej interesowały mnie lunety, głównie dla tego, że miałem nadzieję wybić klin klinem, a co popsuły lu-

nety na teodolicie, tachimetrach, busolach i tym podobnych instrumentach torturujących oczy — to znów luneta na sztućcu poprawi.

Jakżeż gorżko jednak się rozczarowałem; przedewszystkiem luneta obciąża broń zbytecznie, następnie umontowanie jej czy to na boku czy nad lufą jest niefortunne, bo dalekie od oka. Bliskiem być nie może, aby oko przy strzale nie ucierpiało. Są wprawdzie przy niektórych modelach gumowe rury aż do oka, ale to i nie bardzo miłe i wygodne. Dalej fatalnem jest to, że przy większej części lunet nie da się odległość szkieł od siebie regulować, jak np. przy binoklach i dopiero przez większe lub mniejsze pochylanie głowy, potrzeba sobie znaleźć tę odległość oka od okularu (tj. szkła pierwszego), przy której obraz obserwowany przez lunetę będzie zupełnie wyraźny. Te zaś lunety, które mają przesuwalne szkła, dają wogóle za małe pole do widzenia (Gesichtsfeld). Miniaturowe lunetki bardzo lekkie, jakie się w ostatnich czasach pokazały, dają również małe pole widzenia i wogóle za małe mają powiększenie. Lunety stale przytwierdzone, zawadzać muszą strasznie przy noszeniu broni w kniei — odejmowane zaś nie dają dostatecznej gwarancyi, że się dadzą napowrót zupełnie dobrze umontować, tj. położenie osi optycznej lunety nie zmieni swego położenia względnie do osi optycznej lufy.

Mierzenie przez lunetę jest strasznie niewygodne, ja przynajmniej zawsze przy tym akcie miałem wrażenie, jakbym przez wysoki parkan zaglądał do cudzego ogrodu. Lunety pomysłu Hoecla, wyrobu Zeissa w Jenie, są najlepsze, bo mają bardzo duże szkła i widać przez nie od razu bardzo dużo światła, ale są za to ciężkie. Przed próbą więc jeszcze ochłodłem bardzo do lunet i przejąłem się tem przekonaniem, że strzelanie przez nie musi być bardzo niemiłe, choćby dlatego, że strzelający musi przybrać zupełnie inną pozycyę do jakiej nawykł, broni nie można, jak się to zwykle dzieje, przycisnąć dobrze do ramienia i pochylić się, przykładając twarz do puszki łoża — ale strzela się z głową odchyloną, a oko szukać musi celu nie w tem miejscu, do którego przywykło — wogóle cała historya bardzo niesmaczna. Do tego broń leży luźnie w ręku i tańczy jako żyd na weselu, o tem aby strzelić szybko, albo do zwierza w biegu, ani marzyć, gdyż i do nieruchomego celu bez podpory trudno strzelić. Nie jest to właściwie zwykłe strzelanie ale niwelowanie, jakby przez instrument mierniczy, z tą tylko różnicą, że instrument nie tańczy i nie potrzebuję go w rękach trzymać.

Do próby praktycznej miałem cudownie piękny dubeltowy ekspres angielskiego modelu, do naboi angielskich bezdymnym prochem napełnionych i kul dum-dum o całym płaszczu niklowym ze ściętym końcem z małą ekspansyą. Z lunetą Zeissa o dużych szkłach, miałem także drugi sztuciec Mausera z nabojami wojskowymi pruskiemi, z kulami w półpłaszczach niklowych. Strzelałem na 100 metrów z przyśrubowanej broni, tak, że moja czynność redukowała się do pociągnięcia cyngla wymierzonej poprzednio doskonale broni na środek tarczy. Niechcąc nudzić czytelników długim opisem próby — powiem tylko tyle, że gdy pierwsza kula padła na kilka centymetrów obok czarnego środka tarczy na lewo, skierowałem sztuciec o tyleż centymetrów na prawo, poczem wszystkie kule padały w środek tarczy, tak że ani jedna nie wyszła z koła 10 cm. średnicy mającego. Po południu padła pierwsza kula na prawo. Po nakierowaniu sztućców stosownie na lewo, znów siedziały wszystkie kule w środku tarczy, co było dowodem, że oba sztućce są znakomite i lunety są doskonałe, ale w miarę kierunku oświetlenia kule padają raz na prawo, drugi raz na lewo, raz wyżej, drugi raz niżej. Największa różnica była, o ile sobie przypominam, wcześnie rano i wynosiła, zdaje mi się, czego dobrze nie pamiętam, dwadzieścia z górą centymetrów. Jednem słowem doszedłem do tego samego rezultatu co i p. Przedrzymirski i mam to przekonanie, że ta nowo wynaleziona niemiecka astronomia leśna, dla naszych warunków absolutnie się nie nadaje, to jest nie daje tych korzyści, jakich mielibyśmy prawo się domagać ze względu na znaczny koszt dobrej lunety i wszelkich ambarasów i niewygód, jakie przy strzelaniu przez lunety ponosić musimy. Jedna jedyna zaleta lunet jest ta, że przez lunetę można strzelać przy bardzo skąpem świetle, przy którem bez lunety strzał jest wprost niemożliwy, i że strzelec mający wzrok słaby, lepiej strzeli przez lunetę, jak bez niej. W 8., 9. i 10. numerze "Łowca", pojawiły się doskonałe artykuły wytrawnego strzelca i myśliwego p. A. Przedrzymirskiego. Polemika z takim koneserem w tym względzie, wprawdzie trochę trudna — ale niech mi będzie wolno zwrócić uwagę Szanownego autora, że niesłusznie zarzuca lunecie zmienność, a ambaras swoich długich prób temu tylko powinien przypisać, że ciągle przesuwał lunetę. Lunetę powinno się regulować albo wtedy, kiedy słońce jest w zenicie i strzelać w kierunku południka magnetycznego, albo wieczorem przy dostatecznem jeszcze świetle rozpröszonem, nigdy zaś w czasie, kiedy tarcza jest oświecona bezpośrednio na nią padającymi promieniami światła, bo wtedy wchodzi w grę i załamywanie się promieni światła i iradyacya, co naturalnie na celność strzału musi działać do pewnego stopnia irytująco, zważywszy, że w tych warunkach nie mierzymy właściwie do tarczy samej, ale do jej obrazu, a obraz ten może powstać w rozmaitych miejscach na prawo lub na lewo, wyżej lub niżej, a nawet bliżej lub dalej, niż jest w rzeczywistości, zależy to od kąta załamania się promieni światła, t. j. od kąta wpadania, od zawartości pary wodnej w powietrzu, od gęstości warstw powietrza w danej chwili i t. p. różnych warunków. O tych wszystkich subtelnościach optycznej natury, my praktyczni myśliwi nie potrzebujemy nawet wiedzieć, bo kilka nawet centymetrów w praktyce nie odgrywa wielkiej roli. Szanowny autor wspomnianych przezemnie artykułów, uparł się koniecznie wpakować wszystkie swoje kule na daleką metę w kółko 10 centymetrowe, popełnił jednak przy nastrzeliwaniu ten błąd, że lunetę ustawicznie korygował i tej tylko okoliczności ma do zawdzięczenia, że miewał w niektórych wypadkach zupełnie złe rozmieszczenie kul. Przy lunecie normalnie umontowanej, t. j. przy której oś optyczna lunety, leży w tej samej płaszczyźnie pionowej co oś lufy, lub przy lunetach z boku umontowanych w płaszczyźnie pionowej równoległej do płaszczyzny pionowej, w której leży oś optyczna lufy, nie mogą być zbyt znaczne różnice w rozmieszczeniu kul *pasito*, że elewacya jest na regulatorze dobrze oznaczona, a sztuciec sam zupełnie dobrze strzela.

Ażeby się przekonać, jak wielkie jest zboczenie wskutek rozmaitego oświetlenia, a raczej wskutek zmiany kąta wpadania światła w miarę obrotu ziemi, zrobiłem próbę praktyczną, ale już nie ze sztućcem, ale z instrumentem mierniczym o dokrej lunecie z 25 krotnem powiększeniem obrazu. O godzinie 8-ej rano nastawiłem instrument dokładnie na okno budynku o 200 metrów +

odległego w ten sposób, że nitka pionowa krzyża pajęczego w lunecie, kryła pionową listwę okna, pozioma zaś, kryła poziomą listwę w ramie okna. Punkt przecięcia krzyża pajęczego lunety, krył z całą precyzyą punkt przecięcia listwy pionowej i poziomej w ramie okiennicy, t. j. padał w róg szyby. Już po upływie pół godziny można było skonstatować posunięcie się punktu przecięcia krzyża pajęczego na dół i na lewo — ruch ten w danym kierunku trwał do południa, po południu już przyjął kierunek wprost przeciwny, aż do zachodu słońca, poczem nie było już żadnej zmiany. Nie miałem czasu notować co godzinę wielkości posunięć się punktu przecięcia krzyża, t. j. odchylenia poziomego i pionowego, zresztą nie było to potrzebnem. W rezultacie uzyskałem dostateczny na to dowód, że luneta co chwila wskazuje inny punkt i że największy błąd wynosi mniej więcej 20 cm. Między 8 a $8^3/_4$ wynosiło odchylenie poziome t. j. kąt odchylenia 10 minut, co jest bardzo wiele, gdyż czyni to różnicy 12 cm. w niespełna godzinie! Jest także zupełnie naturalnem, że ten pozorny ruch punktu, do którego mierzymy czyli jak się to w praktyce mierniczej nazywa z kiepska po niemiecku, punktu nawizowanego (der anwisirte Punkt), zmienia się w różnych porach roku, dnia, w rozmaitem zachmurzeniu nieba, zawartości pary wodnej w powietrzu, rozmieszczeniu tejże w rozmaitych wysokościach i t. p., tak że ostatecznie nie ma zgoła możliwości ujęcia tych wszystkich wpływów w jakąś regułę, są one tak różne i zmienne, że zgoła wykluczona jest możliwość korektury lunety. Samo przez się rozumie, że i zwykłe strzelanie bez lunety, ulega tym samym wpływom i dopiero luneta nam praktycznym myśliwym nie teoretykom, wykazała dowodnie wpływ oświetlenia na celność strzału. Wynika z tego wszystkiego ta praktyczna wskazówka dla nas, że zbyt daleko nie powinniśmy nigdy do zwierza strzelać, gdyż nawet najlepsi strzelcy z najlepszej broni nie mogą ręczyć za skutek strzału. Normalną odległością, w której przy dostatecznem świetle strzelać można, uważam dla broni wielko kalibrowej cal: 500—450 najwyżej 120 kroków, dla mało kalibrowej (8—6, 5 mm.) najwyżej 180 kroków. Co po nadto jest hazard i nie powinno być praktykowanem.

Wogóle można powiedzieć, że przy bardzo silnem świetle zwykle się dołuje, osobliwie jeżeli muszka jest srebrna a wizer nie ma daszku t. j. osłony. Przy skąpem świetle, kule padają wyżej z tago powodu, że niedokładnie widać muszkę i strzelający bezwiednie podnosi koniec lufy, aby muszkę lepiej w szparze wizeru zobaczyć.

Co do odległości na jaką strzelać można, jedyny wyjątek zrobiłbym przy broni $6^1/_2$ milimetrowej przy pełnym naboju, t. j. 2, 7 gramów prochu wojskowego bezdymnego z kulą z $^3/_4$ płaszczem stalowym. Takich sztućców używają Boerowie, nazywają ich też w handlach niemieckich „Model Afrika“. Celność tej broni jest nadzwyczajna, do 350 metrów strzela się przez pierwszą klapę. Punkt kulminacyjny leży w odległości 175 m. i wynosi zaledwie 15 cm. Działanie kuli jest straszne i zwierz jako tako trafiony pada jakby piorunem rażony.

Miałem sposobność przekonać się o tem dowodnie. W szkółce leśnej zając szkodnik (niedał się wypędzić) strzelony na 110 kroków rozleciał się w kawałki -- lis dostał kulą w głowę, która najzupełniej odleciała, tak że przy korpusie na skórze trzymało się tylko 1 ucho (od strony strzału) i oko na mięśniu. Bocian strzelony dość daleko przepstawiał widok, jak gdyby w nim kula eksplodowała. Książe P. S. zabił z tego sztućca rogacza na mierzonych 192 kroków — a że strzelał w bardzo niekorzystnych warunkach, bardzo wcześnie rano przy skąpem świetle w paproci wysokiej na zrębie, trafił go w szynkę tylną. Mimo tego, że kula nie otarła się nawet o kość, więc nie mogła się spłaszczyć, zrobiła ona przy wylocie otwór wielkości srebrnego guldena i rogacz rażony ani drgnął. Drugiego rogacza zabił Książe na 240 kroków późno wieczorem, także przy bardzo skąpem świetle. Rogacz dostał strzał w lewą pachwinę, kula wyszła grzbietem między łopatkami w górę, zmieniła więc najzupełniej kierunek i przeszyła w dalszym biegu ucho (łyżkę). Jest to dowodem, jak nadzwyczajnie strasznem jest działanie kuli z płaszczom $^4/_5$ bez ekspansyi. Wnętrzności są tak poszarpane zawsze — jakby posiekane. Ekspansywne kule, t. j. rozkwitające, ołowiane nie mają ani w przybliżeniu takich skutków.

Kto więc pewny jest swego oka i ręki, może z takiej broni i po za 200 kroków strzelać.

K. R.



Tęsknota myśliwska.

Jesień tchnęła na lata rozkosze, liście pożółkły i trawa już więdnie, zimne poranki i chłodne wieczory, brak .... czego?

Czyżby żórawi ciągnących wysoko, lub gęsi dzikich monotonna pieśń pożegnania smutek mi sprawiała? Czy za jaskółkami chciałbym uciekać przed zimą, co tysiącami zgromadziwszy się, w podróż daleką się wybierają.

Szumi las w kraśne przybrany kolory, a mnie tęskno i tęskno. Przebóg, lecz dokąd?

Czyżby kobieta czarem zadała, lub wdzięków rojem ten brak spokoju, tę ciągłą tęsknotę.

Czajki żegnają co roku, i wrócą, i gęsi wrócą, żórawie i szpaki, zaledwie słońce wiosenne rozbudzi tę martwą naturę i stopi ten całun śniegu.

I nie kochanka, nie modrooka, lub czarnobrewa, nie ciepłe kraje, nie strach przed zimą, więc skąd do czego tęsknota, której ukoić ni w polu, ni w lesie.

Zima to łowy, to raj myśliwego, wnet trąbka głos niesie, strzał po strzale pada, sosna rośnie mówi, że tam polują, to żniwo myśliwskie. Lecz na to czas jeszcze, toć jesień dopiero.

Już zgadłem, znam powód mojej tęsknoty..... Do-

Karpat mi tęskno, do tych wierzchołków, gdzie smerek z jodłą o smukłość się sprzecza, gdzie potok wartki, jak krzystał przeźroczy, gdzie buk spróchniały, wichrem zwalony, sto lat nie doczekał i zawali drogę, tam to mnie ciągnie. Tam wabi, ciągnie, bo król karpacki ryknął eo boju, a na ten odgłos, na to wyzwanie w całych Karpatach echa się ozwały.

Ranek srebrzystym pokrył ziemię szronem, słońce wyjrzało wstydliwe i blade, a swem spojrzeniem szron w perłę rosy zamienia, w której tęczowe migają kolory.

Gluszec już stary na wierzchołku modrzewia marzył snem błogim, że wiosna wróciła, więc kilka taktów pieśni swej wyśpiewał, a kury milczą, jakby zaklęte.

Wtem ryknął, jak organ farny najgrubszym basem potężny jeleP.

Jak ze spiżu ulany, krewki, dziki, szlachetny i wspaniały, racią kopie i rozrywa ziemię, potężny wieniec przechylił na krzyże a białe jego końce lśnią zdala, kołysząc się w takt tej muzyki nad muzykami. Ryczy. Cudne zjawisko. Rozumiesz moją tęsknotę, pojmujesz mój niepokój?

A. Sumiński.



KORESPONDENCYE.

Brody, d. 1. września 1900.

W budce przy puhaczu.

W maju i czerwcu nie masz polowania i wtedy bardzo miło zasiąść w budce.

Na budkę wybiera się najwyższe miejsce w okolicy. Wykopuje się dół ua dwa metry w kwadrat szerokości, a półtora głębokości. Dają się nad ziemią płotewki i pokrywa się pyrzem, a na wierzch ziemią. Zdaleka wygląda jak pagórek zielony. Od południa drzwiczki zamykane na zamek a od północy okno z okiennicą z desek, metr w kwadrat.

Na imieniny mego syna robię niespodziankę i przyjeżdżam do Urytwy — ale i on mi ją zrobił — bom go w domu nie zastał. Konie wychodzą na kolej i ja się zabieram, biorę puhacza, wysadzam go, a ja zasiadam w budce. Może kwandrans czekałem. Widzę puhacza przestraszona minę i słyszę ogromny szum w powietrzu. Puhacz spada na wznak i widzę orła, który z pazurami wystawionymi uderza. Może na 15 kroków strzeliłem. Orzeł spadł, a w skonaniu tak się mocno ziemi złapał, że go ledwie oderwałem. Był to zupełnie czarny orzeł, cały był ciemno-brunatny, bez odmiany. Stary, bo widać w jakiejś bitwie stracił pazur, który już mu zupełnie zarósł.

W półtora godziny, nim konie wróciły, jeszcze zabiłem trzy jastrzębie jednego gatunku — może i z jednego gniazda — jasno kasztanowate z białemi głowami. Z opowiadania mówił mi hr. L. Starzeński, że to były ścierniaki.

Ale najzapamiętalej biją małe sokoliki — bo raz idę do budki, chłopak poszedł naprzód i wysadza puhacza, zdaleka widzę jak taki sokolik bije puhacza, tak, że chłopak nie może go wysadzić i to trwa z pięć minut. Przyspieszam kroku i zabijam go nad głową chłopca.

Palik od budki jest 25 kroków, z poprzeczką, żeby mógł puhacz wygodnie siedzieć.

Puhacz mego syna ma już ze czterdzieści lat, doskonale siedzi, nie zeskakuje darmo, przytem ciągle się rusza i skrzydła rozpościera, żeby wabić jastrzębie. Jak dobry przelot jastrzębi, to czasem po kilkanaście razem biją na puhacza, że trudno strzelbę nabijać tak prędko.

Radzę kochanym Towarzyszom używać tej przyjemności, bo to i miła i pożyteczna zabawa.

Błotne polowania w tym roku nie dobrze wypadły, pies mi zginął i nie miałem z czem polować a dubelty były.

Koło 10. sierpnia przyjechali do mnie L. Starzeński i Jul. Cielecki. Cieleckiego pies był pierwszy raz w polu, a Starzeńskiego już za stary — po nieboszczyku hr. Wł. Dzieduszyckim — zależał pole, ale sobie o niem przypomniał. Jednego dnia posłałem tych panów na Bandury; były suche. Zabili 6 dubeltów. Drugiego dnia pojechałem z nimi i panem Kisielewskim na Sznyrów. Pies pana Kisielewskiego w pierwszym polu doskonały, wystawił sam 21 dubeltów, któreśmy z łaski pana Kisielewskiego zabili (był tak grzeczny, że nam strzały ustępywał). Bóg zapłać! bo to były moje pierwsze i ostatnie dubelty w tym roku. Już po tem wyjechałem i więcej nie polowałem.

Kuropatw u nas w tym roku jak w Czechach, przedwczoraj popołudniu wybrałem się z moim synem i z jego czarnym kundysem — niby legawy — pięć stad rozpędził na cztery wiatry. Syn zabił 2 kuropatwy. Już więcej z nim nie pójdę.

Zajęcy dużo się widuje w polu.

Delegat Brodzki, *Marceli Tyszkiewicz.*



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.